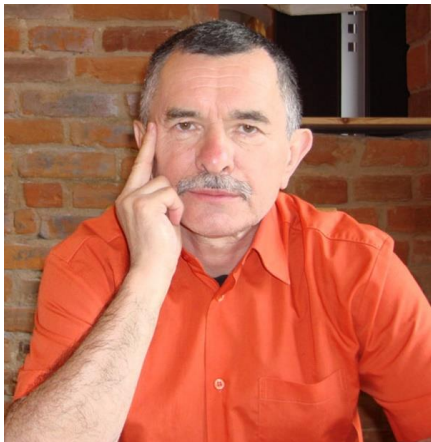


Józef Baran

Spadając, patrzeć w gwiazdy (54)

(fragmenty)



Takie czasy

Zastanawiam się, czy kibicować tak zwanej polskiej Wiśle Kraków, czy tzw. niemieckiej Borussia Dortmund. W polskiej Wiśle bywają mecze, gdy gra raptem dwu Polaków, a reszta to cudzoziemcy. W niemieckiej Borussia gra trzech Polaków i to nadzwyczaj sympatycznych oraz – co ważniejsze – bramkostrzelnych.

Z Aśką i wnukami u Piotra, przyjaciela, który wybudował się w małej wsi koło Wieliczki. Bawi się w Robinsona. Jego Piętaszkiem jest malarka krakowska Ewa. Osoba w odróżnieniu od mądrego, ale szorstkiego i jednak „niemieckiego” Piotra, po słowiańsku serdeczna, gościnnie i uśmiechnięta.

Szczerze go podziwiam, że taki twórczy, zaradny, przedsiębiorczy i praktyczny, a poza tym odważny, bo porwał się w wieku 70 lat na kolejną zmianę otoczenia. Jednak po paru godzinach oglądania domu, ogrodu, słuchania opowieści składającej się z różnych szczegółów dotyczących kolejnych etapów „robinsonady” Piotra – zaczynam czuć się znużony, poziewuję, jakoś nie umiem wykrzesać z siebie należnego entuzjazmu, gdy wprowadza mnie w świat rzeczy, materii, belek, okien, parkanów, dachów, planów na budowę, siatek i pomysłów na dalszą twórczą rozbudowę działki.

Zauważam jeszcze raz, że jestem jakimś dziwolągami bujającym w obłokach słów i odstającym od „prawdziwych mężczyzn”, co to potrafią wszystko zrobić: przybić gwóźdź, wyborować otwór w ścianie, wykopać drenaż, zamontować kuchnię.

A ja wciąż – poeta, tylko głowa nie ta...

Na placu budowy przed domem Piotra moje wnuki jak koty w nowym miejscu skaczą z deski na deskę, z kamienia na kamień, wypróbują różne możliwości majsterkowania, turlania się ze skarpy, brudzenia w popiele po ognisku. Koty, jak mówi Piotr,

robią to samo, gdy widzą jakąś drobną zmianę w otoczeniu – muszą wszystko najpierw wybadać, obwąchać. Z tym że koty robią to z ostrożności, a Jasiu i Nina z nieostrożności; potem płaczą, że się poparzyły pokrzywami i mają bąble na nogach.

* * *

Wrzesień i początek października 2011 – wyłożony słońcem, ludzie zaskoczeni tak długo trwającą śliczną pogodą nie wiedzą, co z nią począć. Malkontenci obracają się niezdecydowanie na pięcie, nie mając na kogo zrzucić winy za swoje wrodzone niezadowolenie. Optymiści triumfują, znajdując w nasłonecznionym powietrzu niezbite dowody na sens swojej pogody ducha. Jednakże pod koniec miesiąca pesymiści upierają się coraz mocniej, że to normalne, gdy śmiertelnie choremu polepsza się na 5 minut przed ostatecznym kryzysem.

Literacki Nobel 2011

Żartuję, że najważniejsze nagrody otrzymali w tym roku moi znajomi.

Marian Pilot, wypróbowany przez lata przyjaciel, dostał Nike za powieść „Pióropusz” (ucieszyłem się).

Zaś 13 października 2011 ogłoszono, że Nagroda Nobla przypadła „w końcu” w udziale innemu mojemu znajomemu, Tomasowi Tranströmerowi. Bardzo się ucieszyłem, pewnie nie mniej niż Szwedzi interesujący się poezją, którzy czekali długo na ten werdykt i z roku na rok ich nadzieje wydawały się niknąć, przede wszystkim dlatego, że poeta od 1990 roku nowych wierszy prawie nie pisał. Ostatni jego cieniutki tomik nowych wierszy „Gondola żałobna”, w przekładzie Leonarda Neugera, przyjaciela poety, profesora slawistyki na Uniwersytecie Sztokholmskim, ukazał się w Polsce w Oficynie Literackiej w Krakowie... Milczenie poety (dosłownie i w przenośni) trwało ponad 20 lat i przerywane było tylko pojedynczymi utworami, w dodatku nie całkiem nowymi, lecz „opracowanymi” na podstawie wcześniejszych zapisków brulionowych...

Ale nie tylko długoletnie milczenie i szczupłość dorobku porównywalnego z dorobkiem Wisławy Szymborskiej, lecz i narodowość Tranströmera, a co za tym idzie obawa szwedzkich akademików, że zostaną posądzeni o stronniczość, powstrzymywała ich długo przed obdarzeniem głową rodaka noblowskim laurem.

Dziś, gdy ma 81 lat i jest sędziwym człowiekiem, postarzałem w dodatku przez chorobę, a więc nie wiadomo, jak długo jeszcze będzie się cieszył życiem, opory zostały przełamane, tym bardziej gdy lata zweryfikowały ponadczasowość tej metafizycznej liryki, która nie straciła na świeżości, ba, jej wartość z czasem zwyżkuje. Piękno, głębia metaforyki autora „Muzeum motyli” są wartościami utajonymi, nie na pokaz, z twardą pestką tajemnicy w środku. Przy pierwszej lekturze nie rzuca się w oczy można przebiegać obojętnym okiem przez frazy poemacików Tranströmera i... odłożyć

książkę ze znużeniem, mając wrażenie szwedzkiego chłodu, jaki zdaje się panować w tym kraju w stosunkach między ludźmi. Chłodu? Tak. Możliwe, że nawet lodowatości, tylko pamiętaj, koczku – powiedziała mi kiedyś znajoma pisarka szwedzka Rita Tornborg – że ten lód może cię sparzyć, tyle w nim sprasowanych emocji...

„Lód, który parzy” – tu docieramy do sedna jego poetyki.

Bo to, co widać na zewnątrz, to nic, liczy się cały „system korzenny”, liczy się wewnętrzna prawda przeżycia. Przyboś nazwałby to po swojemu: głębokoorną mową. Przy pewnych pokrewieństwach liryki szwedzkiego i polskiego awangardowego poety – nie należy wszak zapominać o różnicach. Przyboś był jednak racjonalistą, Tranströmer – jest intuicjonistą, poetą epifanicznym. Precyzją wyrazu dorównuje – gdyby w dalszym ciągu szukać pokrewnych poetów – Norwidowi, ale Tranströmer to jednak liryk, który zrezygnował z tradycyjnych środków (rym, rytm) i w tym sensie jest też bliski Różewiczowi, choć bardziej introwertyczny i metafizyczny. Więcej u niego miejsc niedopowiedzianych, przemilczonych, wieloznaczności, poezji zawartej między wierszami, a nie w wierszach. W wywiadzie dla pisma adresowanego do psychologów („Psycholog Tidningen”) mówi wręcz:

„Nie jest interesujące, co ja myślałem, lecz jak słuchaczce pojmują moje wiersze”.

Przez poetę przepływa stężona energia słów, znaczeń, których on nie musi do końca rozumieć, ba, nie powinien.

Jesienią 1993 roku miałem szczęście gościć przez dzień w domu Tranströmerów w Yasteras, stutysięcznym mieście, oddalonym niecałe 150 kilometrów od Sztokholmu.

Jak do tego doszło?

Moje wyjazdy do kraju Bellmana zapoczątkowane zostały w 1989 roku i wynikały trochę z konieczności, a trochę ciekawości. Mianowicie, gdy na skutek psikusów transformacji straciłem pracę, postanowiłem porobić trochę na czarno w Szwecji.

Dwa tygodnie zmywałem naczynia, drugie dwa – roznosiłem reklamy, ale w końcu doszedłem do wniosku, że Pan Bóg stworzył mnie do „celów wyższych” i rzuciłem to w diabły. Podczas z pozoru nieudanego pobytu w Sztokholmie zawiązałem jednak wiele znajomości w środowisku sztokholmskiej Polonii i wśród Szwedów związanych z polską kulturą (poznałem na przykład Andersa Bodegarda – tłumacza Szymborskiej, Kapuścińskiego i Gombrowicza, czy Macieja Zarembę: znakomitego reportażystę i publicystę, a nawet byłego premiera Szwecji – Faldina), w czym pomógł mi spotkany po latach Leonard Neuger, były krakowianin. Neuger był przyjacielem Tranströmerów, znakomitym tłumaczem wierszy Tomasa na polski. Za jego pośrednictwem oswajałem się z niełatwą poetyką szwedzkiego mistrza. Dzięki Neugerowi odbyłem kilka spotkań autorskich w Sztokholmie (m.in. na uniwersytecie) i przeprowadziłem kilka znaczących wywiadów dla prasy polskiej.

cdn.